Nr. 13 We Lwowie dnia 31. marca 1901. Rok 10.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

O KRZYŻAKACH.

Przez

Marję Konopnicką.

9)

Nad jednym Jurandem sława mocy niema. Choćby noc wieczna świat nakryła i choćby na świat wieczna cisza padła, tak, żeby nikt walki jego i zwycięstw nie widział, ani je głosem mógł sławić — Jurand tak samo-by na głucho i na ślepo bił, jak teraz bije i czyniłby rzecz swoją, właśnie jak śmierć czyni. On jest rycerzem śmierci. On stoi pod jej urokiem, zapatrzony w nią nigdy nienasyconemi oczyma. Tę jedną panią ma i kolor jej nosi: kolor zabitego szczęścia. Tę jedną hetmankę ma i rozkazy od niej jednej bierze, a ona mu płaci żołd nasycenia pomsty, żołd zatraty. Dopiero porwanie Danusi uderza zgrzytem w ten straszny sojusz Juranda ze śmiercią, sojusz, który stał się pieśnią i harmonją jego życia. Dopiero porwanie Danusi, przechyla tę czarę zapienionej krwi, która się Jurandową duszą nazywa, a którą rycerz przepija codzień do śmierci, a śmierć do niego, dopiero to porwanie przechyla czarę na drugą stronę, na stronę męki, odkrywając nowy horyzont Jurandowej duszy, horyzont zaświata.

I oto spiżowy posąg Juranda przejaśnia się, rozświetla, srebrnieje ku niebu. Jakiś ogromny błysk w niego uderza. Jak piorun bije, jak słońce rozpala. Z krzyża bije, w ofiarny stos rozpala.

Pokruszy się, opadnie żużelica miedzi i żelaza, a posąg błyśnie bielą marmurową.

Może to była wola pysznych mnichów — nie przeczę: ale Sienkiewicz wspaniale pomyślał w postaci Juranda, owo stopniowe zwleczenie się, wyzucie ze wszystkich ziemskich broni i ze wszystkich ziemskich mocy i z samego siebie. A to nie w alegorji żadnej, ale w prawdzie żywej, plastycznej, od odpasania miecza i złożenia zbroi, aż do tego jęku u krzyżackiej bramy, do tego:

— O Jezu! Jezu!—które jest nie tylko krzykiem duszy, ale i jej obnażeniem także, obnażeniem w najgłębszej treści: w tajnikach niemocy. A iż w sile Juranda nie było nic już nad to, przyszła i uderzyła w niego siła obca, zewnętrzna, katowska i odjęła mu wzrok i odjęła mu czyn, i odjęła mu słowo i sprawiła, iż był — jakoby nie był.

A wtedy, rozwinęła dusza Juranda dwoje jasnych skrzydeł i poczęła wstępować z Golgoty swojej w niebo, coraz cichsza, coraz bielsza, coraz bardziej Chrystusowa, tak Chrystusowa, że to aż do przebaczenia swym katom.

I poruszyły się na to zaświatowe moce, a śmierć, dawna pani Juranda, poszła mu służyć przy Zygfrydzie — sama.

Z tej śmierci Zygfrydowej tworzy Sienkiewicz obraz nastrojowo-ludowy i właśnie przez tę ludowość swoją — mimo średniowiecznego grotesku, postaci djabła i konno jadącej śmierci — wstrząsający. Przypomina mi on słynny karton Dürerowski: „Der Ritter und der Todt“. („Le Chevalier et la Mort“).

I tam jest krajobraz leśny, posępny; w głębi na wzgórzu stoją wieżaste gmachy, przypominające „gniazdo zbrojnych mnichów“. Na pierwszym planie jedzie rycerz w pełnym rynsztunku z kuszą u siodła i z brzeszczotem w ręku. Podniesiony u hełmu wizyr pokazuje twarz gorzką, zagasłą, beznadziejną twarz człowieka, który się skończył.

W pobok rycerza i także konno, jedzie Śmierć, zwrócona ku niemu, jak gdyby w rozmowie. Nad czaszką jej zwiły się w koronę zębatą gady, wypełzłe z tajnych gniazd rozpaczy. Wysypaną do ostatniego ziarna piasku klepsydrę, wznosi ku oczom rycerza, jakby szeptała: „Już czas... Już ci pora...“. Koń Śmierci żwa wędzidła ze schyloną szyją; jakaś wyschła, niepogrzebana kość człowiecza pod kopytem dzwoni. Za Rycerzem i Śmiercią stąpa na kozich nogach djabeł, ohydny giermek, śpieszący usłużyć piekłu w potrzebie. Całość niezmiernie podobna do śmiertelnej jazdy Zygfryda, którego nie zabił miecz Jurandów po to aby go zabić mogło Jurandowe przebaczenie. Tylko, że karton Dürerowski, choć ogromnie mówiący linją i wyrazem, nie ma, nie

może mieć tych wstrząsających akcentów śmiertelnie nastrojonego języka, jakim Sienkiewicz z obrazu swego przemawia. A to od mrowia myśli Zygfryda, do szeptu śmierci, i od głuchego warku dalekiej burzy do trzasku piorunu, bijącego skróś wycia i chichotu piekła.

A kiedy przyszedł deszcz bujny, rzęsisty, i uderzył w splamioną ziemię i zmył z niej ostatni ślad zbrodniczej stopy Krzyżaka i Jurand wtedy ugasać poczyna, iż się dopełniła miara jego losów, a iż się zatoczyło w pełni już po sobie to okropne koło, które w nim zdruzgotało człowieka, a wycisnęło z niego w krwawych kroplach — ducha.

Ale jak Jurand jest słowem śmierci, tak słowem życia jest Maćko z Bogdańca. Jurand skończył się cały: rodem, osobą, człowieczeństwem nawet, bo z męki swojej wyszedł duchem tylko. Skończył się także i dziełem żywota, bo na mieczu jego położył się palec boży i błysnął piorunem i tak dokonał pomsty — sam.

Inaczej Maćko. Maćko rozpoczyna taką przyszłość i dzieła i rodu. Bo co zastanawia, to, że z dwóch rycerzy Bogdanieckich, nie Zbyszko o przyszłości tej przemyśliwa, choć młody, ale właśnie Maćko, choć stary.

A przemyśliwa różnie i mężnie i chytrze i zawsze przecież w taki sposób, żeby coś dla jutra przysporzyć.

Pierwszym też rysem starego Władyki bogdanieckiego jest pilne garnienie pod siebie fali, która na wierzch niesie. Jest to jeden z tej szlachty, co to się wyrębywała szablą z pospólnej szarzyzny, na widnych w ojczyźnie komesów. Gdy idzie na wojnę, a chadza na nią ochotnie i o każdy czas, czyni to Maćko nie tylko, iż „szkoda zacnego królestwa“, — ale i dlatego, że „wojna bogaci“. (C. d. n.).

JAN ŚWIERK.

Z szarej przędzy.

Powieść ta, drukowana przed dwoma laty w fejletonie „Nowej Reformy“, obecnie wyszła w książkowem wydaniu (427 str. in 8-vo) nakładem Towarzystwa wydawniczego we Lwowie.

Treść jej następująca.

Młoda dziewczyna bezpośrednio po ukończeniu seminarjum nauczycielskiego obejmuje posadę nauczycielki ludowej w zapadłej wiosce, w której dotąd jedynymi przedstawicielami wszelkiej wiedzy ze sztuką czytania włącznie, byli dwaj mężowie, piastujący też najwyższe w hierarchji wioskowej godności: ksiądz i organista. „Piśmiennym“ musiał też być zapewne i sąsiedni dwór, lecz pomimo, że obszar dworski i grunta chłopskie graniczyły z sobą o miedzę, wpływy dworu nie sięgały dalej, jak właśnie po tę miedzę, po ten mur chiński wzajemnej nieufności, nieukrywanej pogardy z jednej i zaciętej nienawiści z drugiej strony, który przez całe wieki między obszarem i gminą narastał, a który przez obecnego obszarnika j. wielmożnego pana Łomskiego, z całym obszarniczym pietyzmem, jak najdroższa spuścizna po przodkach odziedziczona, był kultywowany.

Położenie młodej nauczycielki było dość trudne.

Z jednej strony braki doświadczenia, z drugiej zaś najkompletniejszy brak pomocy, lub choćby życzliwej rady. Dwór nie chce mieć z chłopstwem nic wspólnego dla zasady, a bezpośredni jej przełożony, przewodniczący miejscowej rady szkolnej, proboszcz, zapatruje się na całą tak zwaną oświatę ludu wogóle, jako na modne wymysły.

— „Nasi chłopi ?! to są chamy, draby, „paluchy“ (podpalacze), zbóje. Kijem ich, batem, inaczej się nic nie zrobi!“

Jedynej zachęty do wytrwania musi szukać tylko w sobie samej, w szczerym zapale do pracy, w gorącej wierze w dobre instynkty tego ludu. I posiew, rzucany na dziką, lecz niewyjałowioną glebę wraz z kawałami własnego, szczerze miłującego serca, nie poszedł na marne. „Paluchy“, którzy zrazu spoglądali na nią z nieufnością, podejrzywając w niej, jako w każdym razie w *pani*, duchową wspólniczkę dworu, zaczynają się zwolna przekonywać, ubogie w swej ciemnocie dusze chłopskie otwierają się łatwiej na przyjęcie ziarnek światła, głoszonego ustami ubogiej sieroty, nauczycielki wiejskiej, szkółka zaczyna wywierać widoczny wpływ i jest bliską do stania się tem, czem każda wiejska szkoła przedewszystkiem być powinna — siostrą i duchową kierowniczką wioski.

Okoliczności nie dozwoliły młodej nauczycielce dokończyć rozpoczętego dzieła. Niebezpieczna choroba matki, spowodowana tragiczną śmiercią jedynej siostry i wymagająca natychmiastowej zmiany miejsca pobytu, zmusza ją, jedyną opiekunkę rodziny, do szukania chleba w innych stronach. Zaledwie czas złagodził nieco ból utraty, spada na nią drugi i tym razem stokroć silniejszy cios — śmierć ukochanego człowieka. Osobiste szczęście pogrzebane na zawsze. Na pewien czas upada pod brzemieniem niedoli, lecz wmyślenie się w cały bezmiar tej niedoli, która była poza nią, niedoli już nie osobistej, ale tem ci straszniejszej, bo powszechnej, zalewającej życie, jak piołunowo gorzkie fale rozhukanego morza, powraca jej moc ducha. Żywym nie wolno rąk opuszczać! Zbiera na nowo osłabłe siły, odrzuca rękę człowieka, któremu za jego szlachetną miłość nic w zamian ofiarować nie mogła, prócz pustki, wyżartej w duszy przez śmierć tamtego, jedynego, i resztę swego życia poświęca, by nieść światło tym, którzy przez długie, długie lata jak zgłodniałe sierotki z za progu tylko mogli spoglądać na stoły, zastawione ucztą duchową.

Jan Świerk, to talent niepospolity. „Z szarej przędzy“ jest pierwszym utworem tego autora i jako w pierwszym utworze zdarzają się też niekiedy błędy, dotyczące struktury powieści, czuć jakby pewien wysiłek w ugrupowaniu postaci, które będąc prawdziwe same w sobie, trącą szablonem przy dość rażącem

zestawieniu. Tak, obok księdza, który prócz „kija“ i „pałki“ za najbardziej umoralniający środek dla swych owieczek uznaje t. zw. „katechiz“, bo ten jest bezpłatną robocizną na probostwie, występuje drugi, pełen wszelkich cnót teologicznych i obywatelskich; obok j. wielmożnego Łomskiego, który całą oświatą ludową interesuje się o tyle, o ile jej reprezentantką jest młoda i przystojna nauczycielka i lata całe procesuje się z chłopami o staw nie dlatego, żeby mu ten staw był istotnie potrzebny, lecz byle nauczyć chamów moresu, — autor przedstawia nam zaraz bardzo blizkiego jego kuzyna, szlachetnego nauczyciela, który przez miłość dla biednej nauczycielki chłopomanki, sam staje się chłopomanem i wreszcie obejmuje na siebie rolę nauczyciela ludowego. Lecz te i tym podobne usterki, które dotyczą więcej zawsze jeszcze będącej do nabycia techniki pisarskiej, nikną wobec wielkich zalet, jak głębia niekłamanego uczucia, barwny i bogaty język, artyzm w wywoływaniu silnych efektów za pomocą najprostszych środków. Zawdzięczając temu, całość sprawia jak najlepsze wrażenie, niekiedy nawet porywa.

Dlaczego autor nadał temu utworowi tytuł „Z szarej przędzy“?

Bo jest to istotnie przędza monotonnie szara, żywot nie świąteczny i nie salonowy, powszednia proza życia tysięcy istnień ludzkich, wprzęgniętych do cichej a mozolnej pracy u samych podstaw społecznych, bo to dola naszego nauczycielstwa ludowego.

Jakże ta dola jest prawdziwie smutna i szara i jakże pożałowania godnem jest społeczeństwo, w którem ona może tak przerażająco barki *nauczających* do ziemi przygniatać, tych, którzy dla narodowej przyszłości pracują. — W ludzie nasza przyszłość! lud, to ów bór potężny a niepoczęty, w którym się kryją skarby nieprzebrane! wejdźmy w jego głębię, zdobądźmy naszą przyszłość przez obudzenie uśpionej mocy ludu naszego! Oto jest garść haseł, stworzonych *ad usum* tych, którym przypada w udziale ten *lud dla narodu zdobywać*. My wogóle umiemy stwarzać piękne hasła, o ile one mają innym przyświecać. Lecz ażeby zdobyć te skarby ukryte, aby rozbudzić tę uśpioną moc ducha ludowego, nie można przystępować do pracy z aparatem suchych form, pragnących każdą duszę urobić na modłę przyjętego szablonu. W ten dziewiczo nietknięty bór, zasnuty mrokami od wieków trwającej ciemnoty, należy wchodzić z rozgorzałem, jak jasna pochodnia sercem, — aby tę glebę, wyziębioną latami niedoli i zapomnienia, uczynić zdolną do przyjęcia posiewu, należy ją ogrzać najpierw ciepłem serdecznej miłości.

„Nauczycielko! Każde dziecko w twej szkółce — to wiosna! To wiosna jedna, niepowrotna. Wiosna dla kwiatów, ptasząt, dla roli czarnej wraca co roku, ale wiosna serc dziecięcych nie wróci“.

„A ileż ty, nauczycielko, takich wiosenek masz pod strzechą swoją?... Ileż to trzeba tobie mieć skarbów ciepła i światła, byś każde serce zasiała, ogrzała i oświeciła?...“

Lecz cóż się robi, aby tym wysłańcom, pracującym nad zbliżeniem ku nam owej promiennej przyszłości umożliwić zachowanie tego tak potrzebnego ciepła? Oto młoda dusza, pełna zapału i poświęcenia, gotowa z radością rzucić ofiarne serce pod gmach tej z mroków powstającej narodowej przyszłości, przystępuje do pracy, i oto co ją na pierwszym wstępie spotyka. — „Szkoła tyle im pomoże, co mnie taniec. W głowie się ludziom przewróciło z tą nagłą miłością dla ludu!“ — powiada ks. proboszcz, przewodniczący miejscowej rady szkolnej. „Ja z góry zapowiadam, iż dla szkoły żadnego ustępstwa, żadnej przysługi nie uczynię!“ — oświadcza p. Łomski, członek rady szkolnej okręgowej. A rada szkolna krajowa? Gdy nauczycielka dla zachęcenia dzieci własnymi środkami postara się o książeczki na nagrody, krajowa rada szkolna odrzuca je... z powodu orzełka na okładce!

To są czynniki moralnej natury dla wzmocnienia nauczycielskiego ducha.

Teraz co do samych warunków pracy: „Dziś otrzymałam wykaz dzieci, obowiązanych do nauki szkolnej. Liczba ich jest wspaniała, bo wynosi 117. Lecz to jeszcze nie wszystkie. Przyjdzie jeszcze wykaz dzieci obrządku grecko-katolickiego, który przysłać ma ksiądz z sąsiedniej wsi. „Rada szkolna miejscowa... na drzewo przeznaczyła 20 złr. Jest to tak mało, iż do połowy zimy nie wystarczy. Nikt nie pomyślał o tem, że w izbie szkolnej pracuje dziewczyna, która z zimna dzwoni zębami, a w zsiniałych palcach nie może utrzymać kredy, gdy ma pisać na tablicy.“ Po dwóch miesiącach oczekiwania pensja nie nadchodzi:

— Chciałam prosić pana inspektora o łaskawe poinformowanie mię, co mam zrobić z odebraniem pensji...

— „Ach!... zapomniałem na śmierć o tem. Lecz stało się. Proszę za tydzień przyjechać.

— „Ależ, proszę pana inspektora... — ja pieniędzy potrzebuję!...

— A, trudno!... Na to nie poradzę!

„....Gdyśmy wyszły z kościoła, prawdziwe łzy sączyły się nieznacznie po mojej twarzy“.

A ta pensja? 24 złr. i 50 ct. miesięcznie. 24 złr. 50 ct.!! Z tego masz ty, niosący przed narodem oświaty kaganiec, siebie i rodzinę wyżywić, siebie i rodzinę przyodziać, dać swym dzieciom taką naukę, by z czasem mogły zająć przynajmniej równe twemu stanowiska... nauczycieli ludowych. A w razie choroby? Takich ewentualności preliminarze szkolne nie przewidują. Jeżeli jednak mimo to spadnie na ciebie ten przypadek, ty znajdziesz przecie gdzieś pod bokiem jakiego żydka, do którego śmiało możesz zapukać o pomoc. Wprawdzie później zechce może zedrzeć z ciebie trzy i czterykroć więcej, ale w każdym razie na czas choroby bez zasiłku cię nie zostawi. A za to wszystko będziesz miał dużo moralnego zadowolenia, będą ci często i przy każdej sposobności ze szczególnym naciskiem przypominać, że jesteś nauczycielem ludowym, i wreszcie po najdłuższych latach życia będziesz miał zapewniony pogrzeb na koszt gminy, dla dobra której pracujesz!

Oto jest jedna może tylko szara nitka, jakich wiele, wiele składa się na całą „szarą przędzę“ żywota nauczyciela ludowego.

Zaiste, nie z ciała, krwi i kości trzeba się składać, aby w podobnych warunkach zachować w sercu gorący znicz świętej miłości i szczytnego zapału.

W. Ż.

Agenor hr. Gołuchowski

w pierwszym okresie rządów swoich (1846—1859)

(Dokończenie.)

O poborze drzewa budowlanego nie wspominał hr. Gołuchowski w swojem rozporządzeniu, chociaż pobierali go włościanie od niepamiętnych czasów z lasów, zagarniętych przez dominium i chociaż ustawodawstwo Józefińskie wyraźnie im to prawo przyznało. Ale hr. Gołuchowski, jak wyjaśnia w relacji do ministra hr. Stadiona, obawiał się ujmy „dla kraju i właścicieli dóbr, gdyż włościanin uwolniony od wszelkich ciężarów pańszczyźnianych, przystępowałby do rozszerzenia swych budynków w takiej mierze, jakiej przedtem nie znał z potrzeby, a jaką bardzo rychło przyswoiłby sobie teraz, gdy pracuje na własną korzyść“. (216 str. Ibidem.) Kultura leśna jest rzeczą nader ważną dla prawidłowej gospodarki kraju, zwłaszcza takiego jak Galicja, która już od pięćdziesięciu przeszło lat spłaca swój bilans handlowy lasami. Ale czy lasy szły by na budowę bardziej obszernych, bardziej więc hygjenicznych chat włościańskich, czy zaś w zamian za tandetę wiedeńską, zalewającą nasz kraj — to na kulturę leśną nie wywarłoby wpływu, a dla stanu fizycznego ludności wiejskiej w Galicji nie byłoby obojętnem. Drugi tytuł dla wdzięczności szlachty względem hr. Gołuchowskiego, to kwestja św. propinacji. P. Łoziński, wyliczając zasługi hr. Gołuchowskiego, wspomina ogólnikowo o obronie prawa propinacji, nie zatrzymując się dłużej nad tą kwestją. Otóż rzecz się tak miała: rząd uważał, że w indemnizacji (wynagrodzenie za zniesienie pańszczyzny), zawiera się już wynagrodzenie za prawo propinacji, wynikiem stosunków pańszczyźnianych będące; ustawa z 12. listopada 1855 r. ogłosiła spirytus za przedmiot wolnego handlu, w 1856, na mocy przedstawienia hr. Gołuchowskiego, cofnięto wykonanie tego dekretu w Galicji. Szlachta zachowała monopol sprzedaży spirytusu na swych dominiach, zachowała miljony rocznego dochodu. Gdy uprzytomnimy sobie, jak zaciężyło prawo propinacji na finansach krajowych, jak uciążliwą dla kraju jest po dziś dzień spłata tego prawa, to musimy uznać, że jeżeli szlachta musi być wdzięczną hr. Gołuchowskiemu, to my w danym wypadku mamy prawo mu złorzeczyć. P. Łoziński poczytuje za zasługę hr. Gołuchowskiemu, że zachęcił synów bogatej szlachty do służby państwowej. Dla akcji ugodowej, podjętej przez hr. Gołuchowskiego, było to ważnym, że w owe czasy panowania niemczyzny w urzędach, synowie rodzin arystokratycznych, mających wpływ w społeczeństwie, zaczęli się garnąć do urzędów austrjackich w Galicji. Gdyśmy mówili o auto-austrjazacji i auto-germanizacji, wykazywaliśmy, że to mogłoby przynieść nam znaczne szkody pod względem naszej narodowej świadomości i odporności, gdyby wskutek okoliczności zewnętrznych, nie nastąpiłoby przeobrażenie Austrji.

Zachęcanie zamożnej młodzieży do urzędów, przyszczepiło nam zastarzałą chorobę austrjacką, biurokratyzm. Jeżeli w poprzednim okresie widzimy podjęcie licznych prób wytworzenia przemysłu w kraju; zamożni właściciele ziemscy zakładają cukrownie, fabryki i t. p. przedsiębiorstwa, które utrzymać się nie mogły tylko wskutek ekonomicznej polityki rządu austrjackiego, wrogiej Galicji, to prób takich nie spotykamy niemal w latach 50.

Szlachta galicyjska, jedyna warstwa w kraju, stosunkowo zasobna w środki, przetrzebiona wypadkami z 1846 r. ogałacała się ze zdolniejszych jednostek na rzecz biurokracji. W krytycznej chwili przejścia gospodarki pańszczyźnianej do wolnej, była ta warstwa najbardziej podatną na zaszczepienie wśród niej popędów do karjery biurokratycznej. Jeżeli dziś skierowywanie się ludzi zamożnych do urzędów, zamiast do pracy samodzielnej, ujemnie się odbija na naszym rozwoju ekonomicznym, to w owych czasach, kiedy system rządowy był jawnie wrogi względem naszej narodowości, ogólna dążność do urzędów wywoływać musiała liczne objawy upodlenia.

Rodzice byli przeciwni zmniejszeniu germanizacji szkół, bo się obawiali, że brak dostatecznej znajomości niemczyzny, może zaszkodzić karjerze dzieci.

Okres reakcji — to okres upodlenia społecznego. Wszyscy ci, co w okresie czynu chowali się w mysie nory, wyłażą na pierwsze miejsce, gdy nadchodzi noc społeczna – reakcja, oni niczego się już nie boją i nie wstydzą, bo społeczeństwo jest bierne, jest pozbawione najlepszych swych członków, którzy są gdzieś w oddaleniu lub ubezwładnieni, któż więc napiętnuje ohydne pod względem społecznym, pod względem narodowym postępki.

Aby sprawiedliwie ocenić hr. Gołuchowskiego, pamiętać musimy, że był on działaczem epoki reakcji. Podczas przemarszu wojsk rosyjskich do Węgier, hr. Gołuchowski przez starostów zmuszał chłopów do robót na łanach dworskich, by wojska rosyjskie otrzymywały w porę furaż. Polacy bili się na Węgrzech za sprawę, od której wyniku zależał pomyślny rozwój swobód i nietylko Węgier, ale w pewnej mierze i sprawa polska. Car rosyjski — rzecz zrozumiała — szle przeciw Węgrom swe żołdactwo, a Polak hr. Gołuchowski, przekracza nawet prawo, chociaż jakoby był „legalista“, by wojska, te z powodu zawichrzenia w dostawie furażu nie poniosły klęski. Ten sam hr. Gołuchowski zgadza się dzielić władzę z takim generałem Hammersteinem, który

zaznaczył się bombardowaniem Lwowa i wydalaniem oraz wydawaniem Rosji polskich emigrantów z zaboru rosyjskiego. P. Łoziński rozpisuje się obszernie o tem, że hr. Gołuchowski stanął energicznie w ich obronie i wyratował hr. Załuskiego. O ile tu działały stosunki osobiste, o ile podrażniona miłość własna, brutalnie obrażona przez Hammersteina – przesądzać nie możemy. Hr. Gołuchowski mógł się pocieszać tem, czem się pocieszają dobroduszniejszego typu oficerowie żandarmscy w Rosji — „inny byłby gorszy na mojem miejscu“! Bezwarunkowo byłby gorszy od hr. Gołuchowskiego p. Szałowski, starosta jasielski, który wystąpił z projektem wzniesienia pomnika na pamiątkę przemarszu wojsk rosyjskich (116 str. Łoziński Ibidem), byłby gorszy Chomiński Joachim, dyrektor policji we Lwowie, posiadający splamione ręce w wypadkach 1846 r. w Tarnowskiem, a jednak przez urzędników wprowadzony, jako członek do Towarzystwa Rolniczego; byli by gorsi od hr. Gołuchowskiego ci tarnowianie, którzy swą prośbę przeniesienia sądu apelacyjnego do Tarnowa, motywowali „zasługą tego okręgu dla Austrji“ podczas 1846. Ci przedstawiciele robactwa z artykułowaną mową nie mieli miru u hr. Gołuchowskiego. Trzeba też uznać, że pod względem talentu administracyjnego, hr. Gołuchowski należał do najzdolniejszych ludzi w Galicji. Gdyśmy twierdzili, że był on przedstawicielem i autogiermanizacji i auto-austrjazacji, tośmy bynajmniej nie chcieli przez to twierdzić, że był on wrogiem polskości. Nie, hr. Gołuchowski stawał nieraz jako orędownik polskiego języka w szkole, nawet i w pierwszym okresie rządów swoich, lecz gdy dążnością demokratów było stworzenie z zaboru austrjackiego zawiązku Polski niepodległej, hr. Gołuchowski chciał mieć w Galicji austrjaków języka polskiego.

Byłoby to obniżeniem naszych narodowych ideałów, gdybyśmy uważali hr. Gołuchowskiego za bohatera polskości.

Wł. Studnicki.

11) ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

XXII

Noc minęła spokojnie. Wojsko nie ruszyło z zajętych pozycji, a nawet przez cały dzień następny zachowywało się z zupełną biernością. Straże chodzkie czuwały jednak pomimo to ze zdwojoną gorliwością i uwagą Ale bezdomnym, którzy chronili się w puszczy, otucha poczęła wstępować w serca. Ochłonęli już byli potrosze z pierwszego wrażenia i radowali się, że obawa ich o całość ukochanej wioski okazała się płonna, Ujazd bowiem stał dotąd nietknięty. O środki żywności też nie było jeszcze troski. Wziętych z domu zapasów mogło starczyć na dni kilka, zwłaszcza dzięki uprzejmości sąsiedzkiej, która szerokie znajdowała dla siebie pole w ciężkich onych chwilach. Dopomagano sobie wzajemnie po bratersku, czem kto mógł, o wszystkich zaś pamiętali mieszkańcy Straży, Chodowa i Tłumaczowa, którzy przynosili koczującym w lesie rzeczy najrozmaitsze, a wielce im potrzebne i przydatne.

Mężczyźni nie mogli się dość nadziwować zachowaniu się wojska. Mianoż by zamiar przymusić ich głodem do rozejścia się, a mieszkańców Ujazdu do powrotu? Daleka to jednak byłaby droga i któryś z Chodów wyliczał, śmiejąc się, ileby czasu upłynęło, nimby zdążyli spożyć wszystkie swoje stada, do lasu zegnane.

Przybek nawoływał wciąż do ostrożności i czujności. Obawiał się widocznie jakiejś niespodzianki. Czoło jego chmurzyło się znowu ponurą troską. Przychodziło mu na myśl, że trudno będzie przez czas dłuższy tylu ludzi w lesie utrzymać, — że ci zwłaszcza, co z dalszych stron pochodzą, zatęsknią wkrótce za domami. Po południu jednak twarz mu się wyjaśniła, gdy na ponowne wezwanie oficera do poddania się, cała starszyzna chodzka odpowiedziała przecząco.

Na trzeci dzień wójcia wszystkich wiosek chodzkich i co najstarsi gazdowie prócz tych, którzy przebywali w Pradze — zgromadzili się na narady w Hamrach, w podwórzu pod starą gruszą, kędy wbita była chorągiew chodzka. We wszystkich zresztą opuszczonych domostwach panował teraz ruch i życie, wszędy przewijały się gromadki zbrojnych Chodów, zajętych tak żywą rozmową, że uwagi ich nie zwracała nadciągająca od strony lasu burza, która powlekła niebo kirem chmur. Wójcia i starsi też zdawali się nie słyszeć szumu starej gruszy i gwałtownego furczenia chorągwi; mówili o wojsku. Maciej Przybek, oparty o pień, aż drgnął, gdy Konopik ze straży nadmienił, iż ci tam — i wskazał na Ujazd —dla tego tak cicho siedzą — że czekają na posiłki. Ta sama myśl przychodziła już nieraz do głowy Maciejowi.

— A boisz się ich? — zapytał Konopika ostro.

— Nie boję, ale kieby ich było, jako mrowia na wiesnę...

— Ho, ho! wielgi wojak z ciebie, jako widzę! — przerwał mu drwiąco Przybek.

Konopik zczerwieniał, lecz nie zdążył odpowiedzieć, bo na zewnątrz, ze wszystkich stron, zerwały się głośne okrzyki. Ruch zapanował też niezwykły śród chodzkiej drużyny. Ci, co leżeli w trawie, zrywali się. Inni, którzy byli w budynkach, wypadali stamtąd z nagłym pośpiechem, — a wszyscy skupiali się wokoło jakiegoś przybysza. Nie musiał to być jednak światowiec, bo wśród białych żupanów chodzkich nie widać było obcego stroju. Nagle ze wszystkich piersi wyrwał się okrzyk: „Brychta z Postrzekowa! — Brychta!“

Jakoż on to był rzeczywiście i zaraz wpadł na podwórze z gromadą towarzyszących mu górali.

— Ho, ho! Jakeście się tu przystroili na wojenkę! — krzyczał, wywijając ciupagą. Ho, ho, będziemy się bili! — i ściskał ręce najbliżej stojącym.

— Kaz są inni? — zapytywano go ze wszystkich stron.

— Idą, też idą i wnetki haw będą!

— Poźrzyjcież ino hań! Dy to Pajdar! Dy to Syka!

— Prokurator!

— Z Pragi!

Głosy radości i zdziwienia krzyżowały się w powietrzu i spora minęła chwila, nim zapanował względny spokój. Ale bo też i niespodzianka była nie lada jaka! Ktożby ich był wyzierał teraz właśnie? Każdy byłby dał głowę, że są w Pradze, a oni tymczasem jakby z nieba spadli.

Pytania sypały się zewsząd:

— Jakożeście się ku nam dostali? — A słyszeliście cosi u nas dzieje?

— A kanyście się o tem zwiedzieli?

Syka wyjaśniał w odpowiedzi, że przedzierali się manowcami, przez lasy — i że o rebelji zasłyszeli aże w samej Pradze.

— A kaz je burgrabia z Kęt? — zapytał w końcu.

Pytanie to wzbudziło śmiechy. Odpowiedziano, że siedzi w lesie, za węglowiskiem, przywiązany do drzewa i że mu się bardzo jeszcze dobrze powodzi, jak na te ciężkie czasy.

— Jako że to będzie? toście go nie ubili? — pytał ze zdumieniem Syka.

— Ani inszych panów nie mordowaliście? — dodał Pajdar.

Chodowie robili wielkie oczy na te pytania, dziwiąc się, że takie wieści krążą o nich po świecie. A Syka odetchnął z głębi piersi, słysząc, że wieści one mówiły nieprawdę.

— Ale kaz są insi, Kozina, Hruby?.. — zapytywali Chodowie.

Wtem przeciągły wark dalekiego grzmotu rozległ się w chmurach. Ale gdyby nawet piorun był uderzył u ich stóp, nie byli by się Chodowie tak przerazili, jak opowieścią Syki o tem, co zaszło w Pradze, w sądzie apelacyjnym. Jedni stali bez ruchu i głosu, zgnębieni myślą, że ostatnia nadzieja zgasła, rozwiała się bez śladu. Z piersi innych rwały się jęki, jak gdyby dokonane bezprawie duszę im krwawiło. Tam i ówdzie dawały się słyszeć okrzyki, aby już nie czekać dłużej, lecz wnet uderzyć na panów i krwawą zapłacić im zemstą za krzywdy. Maciej badał twarz Syki ponurem wejrzeniem, jakby oczekując, co powie.

— Hej, bracia, uważcie ino, aby nie było gorzej jeszcze, aniżeli teraz! — wołał tymczasem „prokurator“ Syka.

— Jakoż to? — Co masz na myśli? — pytali starsi, którym opowiadanie o wypadkach praskich odjęło ducha.

— Co nam na myśli? — To samo, co i wy! — mówił dalej Syka. — Przywileje nasze ogień pożarł; w sądzie powiedziano, jako prawa chodzkie utraciły walor; nascy ludzie w hareszcie zamknięci, a haw przed nami stoi wojsko, zaopatrzone w broń doskonałą, a my kiepską mamy i jesteśmy sami, bez pomocy. Nie myślcie, abych się bał, ale bych rad zachował, co jeszcze można, co się da, aby gorsze czasy nie nastały. Krew popłynie... Dziśka może zdolemy się obronić, ale jakoż...

— Stul-że gębę, ty, prokuratorze złodziejski! ty Judaszu jakowyś! — zagrzmiał naraz Maciej Przybek, stając w całej olbrzymiej swej wielkości przed nizkim, krępym, włochatym „prokuratorem“, ostrożność zalecającym.

W zgodnym okrzyku, który się zerwał na słowa Macieja, górował najwyraźniej głos Brychty z Postrzekowa. Ale i Syce nie zabrakło poparcia i to nie byle jakiego. Co najstarsi, co najpoważniejsi gospodarze z Kleńcza, Chodowa, Postrzekowa, Straży, Kiczowa, Tłumaczowa i Miodakowa stanęli po jego stronie, skutecznie i surowo tłumiąc okrzyki bojowe strony przeciwnej, do której należeli w przeważnej części górale z Ujazdu, Drażenowa, a także z Poczynowic i Lhoty.

— Ostawcież go! — wołał Syka. — I któż to nawarzył tego piwa, jeżeli nie ty, Macieju!

— Chcesz, aby ogień zniszczył nasze wioski? Chcesz, aby mordowano nas samych i nasze żony i dzieci nasze! — wrzeszczał Burczyk z Kleńcza.

— Niech niszczy! niech nas mordują! — wołał Przybek, którego oczy ciskały snopy iskier. Ale wpierw bronił się będę! A jeśli padnę w boju, toć lepsza śmierć od takiego życia, — od niewoli bydlęcej! Kądziel wam ino pasuje, nie ciupaga, jako że jesteście baby babskie, a nie Chodowie!

(C. d. n.).

Z Syberji i Kamczatki

przez dra Benedykta Dybowskiego.

(Ciąg dalszy).

Przeszło dwa i pół stulecia trwa proces wynaradawiania, tępienia garstki narodu przez coraz to nowe zastępy cywilizatorów. Czy naród ten zginął, czy zginie doszczętnie? Nie, on się odrodził we krwi ciemięzców. Jak Heloci zajęli dzisiaj miejsce Greków starożytnych, tak Burjaci zajęli już, albo zajmą miejsce Rossjan europejskich. Wielu obywateli tamtejszych stron nosi już teraz na sobie cechy typu burjackiego. Ci mieszańcy są, o ile z dawniejszych moich obserwacji wnosić mogę, zdolniejsi i lepsi, niż byli ojcowie ich Rossjanie, szczególnie ma to miejsce na całem pograniczu ziemi Zabajkalskiej, gdzie przodownikami w oświacie byli za owych czasów kozacy konni, typu czysto mongolskiego, jak np. rodziny Sileńskich, Perfiljewych, Razgildiejewych etc.

Podróż z Irkucka na wybrzeże Bajkału drogą wodną, odbywała się za naszych czasów w ten sposób, że się wynajmywało przewodnika z koniem, wprzęgano następnie rumaka do liny, umocowanej do sznura, łączącego maszt z przodem łodzi, czyli jej nosem albo dziobem. Zaprzęgłszy konia, dosiadał go przewodnik i jadąc stępa lub truchtem, ciągnął w ten sposób łódź z pasażerami pod wodę. U przodu łodzi kipiała woda, podnosiła się falą wysoką, zaś w miejscach silniejszego prądu rzeki, wdzierała się przez burt do środka łodzi, wtedy dawano znać o tem głosem przewodnikowi, który zwalniał natychmiast chód rumaka. Wynajęcie człowieka z koniem, kosztowało wtedy od dwóch do trzech r. s. niekiedy żądano nawet 5 r. s., mianowicie w czasie żniwa. Czas jazdy łodzią pod wodę wynosił kilkanaście godzin. Wypoczynki, a niekiedy i nocleg, odbywały się pod namiotem gwiaździstym, na kobiercu łąk kwiecistych, gdzie rosną w istocie lilje i tulipany. Goszcząc wśród natury pięknej, prawie jeszcze dziewiczej, nie tęskniono wtedy za komfortem restauracyjnym; zajazdów, austerji, oberż, nie znano tam wcale, co najwięcej, u ogniska noclegowego zjawiał się rybak ze świeżym połowem lipieni Angarskich (Thymallus Grubii), piekł je na rożenkach u żarzących się węgli i częstował podróżnych w zamian za herbatę ze śmietanką i sucharami*).

Przejażdżka w dół i w górę po Angarze miała sporo w sobie uroku podówczas i znałem wielu ludzi, którzy wynajmowali łódź, konia i przewodnika, posuwali się w górę po rzece aż do Bajkału i spuszczali się następnie w dół z prądem, dla tej jedynie satysfakcji, by się oddać na wolę fal Angary, i wtedy z pełnem uczuciem rozkoszy, jaką daje zwykle ludziom bezczynność, ten atrybut boskości, to „dolce far niente“ życia rajskiego — spędzać czas na marzeniach.

Czystość wód Angary, ich przeźroczystość kryształową, zawdzięcza rzeka Bajkałowi, w którym odbywa się klarowanie dopływów jego mętnych. Namuł bowiem, przynoszony przez rzeki, szczególnie zaś przez Sielengę, Barguzin, Angarę górną, Buguldiejkę, Gołoustnę etc., powoli osiada na dnie szerokiego i głębokiego zbiornika, a czysta, jak łza — woda odpływa po skalistem, albo kamienistem łożu Angary dolnej. Łączność tej rzeki z niezmiernie głębokiem jeziorem, wpływa na jej temperaturę, która w stosunku do innych rzek, niską nazwana być musi. Woda w Bajkale, nawet na powierzchni nie ogrzewa się nigdy wyżej nad 9° C., (wyjątek stanowią płytkie miejsca na wybrzeżu, jak np. około wsi Kułtusznej, gdzie wydma piaszczysta zachodzi daleko w jezioro), lecz po każdym podmuchu silniejszego wiatru, który głębsze i zimniejsze warstwy miesza z wierzchniemi, cieplejszemi, temperatura opada raptownie i nie wynosi latem więcej nad 7° C.

Woda, opuściwszy Bajkał, przybywa szybko do Irkucka, i z tego powodu ciepłota jej tutaj jest nie o wiele znaczniejszą od bajkalskiej Lecz o ile w porze letniej temperatura Angary jest niższą od otaczającego powietrza, o tyle znów jesienią bywa ona wyższą, to też gdy inne rzeki, potoki i strumienia już w październiku pokryte są lodem, Angara staje pod Irkuckiem nie wcześniej jak około świąt Bożego Narodzenia według stylu starego, czyli w początkach stycznia według nowego. Powodem takiego opóźnienia w zamarzaniu jest Bajkał, massa bowiem jego wód, ogrzana podczas lata, potrzebuje długiego perjodu zimna, zanim się ochłodzi na powierzchni do stopnia, przy którym rzeka może się pokryć lodem.

Dziwnie oryginalny widok przedstawia Angara wtedy, gdy toczy ogrom wód swoich wśród zimowego otoczenia, przy temperaturze powietrza, wynoszącej przeciętnie — 20° R. Ponad ciągle ru-

---

*) Połów lipieni na Angarze odbywa się w sposób oryginalny, lecz zapożyczony od rybaków dźwińskich z okolic Dzisny. Rybak wypływa zwykle ku wieczorowi w górę po rzece w leciutkiej łódeczce, mając przy sobie siatkę, złożoną starannie, siatkę taką nazywają „trójścianką“ albo „tryhubicą“. Dopłynąwszy przy pomocy drążka, „szesta“, do miejsca wybranego naprzód, zwraca łódkę na środek rzeki, następnie ciska sieć w prędkich i zręcznych rzutach w ten sposób, ażeby się ona rozłożyła w poprzek rzeki. Uskuteczniwszy wyrzucenie sieci na wodę i trzymając za koniec sznura, uczepionego do sieci, daje się unosić prądowi i pędzi w dół po rzece, bacząc ciągle na to, ażeby kierunek sieci był stale poprzeczny, co wymaga wprawy i zręczności niemałej. Przepłynąwszy spory kawał, zbiera rybak sieć wraz ze złowioną rybą do łódki, płynie znowu do góry i powtarza proces połowu, dopiero co wskazany, tak długo, aż zadowolony zdobyczą, albo zmęczony pracą nie postanowi wrócić do domu na spoczynek. Połów lipieni odbywa się podczas nocy księżycowych, prawie przez całe lato, ale najobfitszy połów ma miejsce na wiosnę. Lipienie na wiosnę stanowią najbardziej ceniony artykuł handlu u rybaków bajkalskich. Jest to najsmaczniejsza z ryb tego jeziora.

chomą, jak gdyby była wiecznie wzburzoną, powierzchnią rzeki, wznoszą się wtedy gęste obłoki pary. Wzbijają się one, to wysoko do góry, to ścielą się z powiewem wiatru w różnych kierunkach po dolinie, opadając drobnymi kryształkami na wybrzeża, na trawy, krzewy i drzewa okoliczne Patrząc na rzekę w mroźny i cichy dzień zimą, mamy złudzenie, że stoimy przed olbrzymim zbiornikiem kipiącej wody; a gdy po nocy bezwietrznej nastanie ranek cichy, wtedy widzimy, że obłoki pary rzecznej spowiły całą okolicę w jedną massę mglistą i tajemniczą, że przyodziały domy i drzewa bukietami nieporównanej białości, składającymi się ze zlodowaciałych igiełek, że nakoniec zasypały drogi i ulice najdelikatniejszym puchem śnieżystym.

W zimie, gdy się zbliża pora zamarzania rzeki, zdejmują wtedy promy i przeprawa przez Angarę odbywa się na małych czółenkach, zwanych „duszehubkami“ Pasażer wsiadłszy do takiej łódeczki, mieści się na dnie i trzyma nogi wyciągnięte przed siebie, w takiej samej pozycji siedzi i przewoźnik; ławeczek niema wcale na takich czółenkach i wypłynąwszy na rzekę, już o kilka metrów od brzegu nic się nie widzi i mało co się słyszy, raptownie znika świat cały dokoła płynącego, atmosfera chłodna, wilgotna, duszna go otacza i uczucie jakiejś trwogi mimowolnej nim owłada. Znałem kilka podróżników, którzy znalazłszy się poraz pierwszy w życiu w takich warunkach niezwykłych, wołali na wioślarza, ażeby natychmiast zawracał z powrotem do brzegu, lecz ten, oswojony z wypadkami podobnymi i nie chcąc tracić zapłaty umówionej, powtarzając flegmatycznie wyrazy: „małczy“ „małczy“, co znaczy w mowie Sybiraka „dobrze“ „dobrze“, wiosłuje dalej, a po długiej, nawet niekiedy przydługiej przeprawie, co ma miejsce wtedy, gdy już „Szuga“ płynie po rzece, przystaje szczęśliwie u przeciwległego brzegu, zwykle o pół kilometra wyżej po rzece, od miejsca zkąd się wypłynęło.

Z pism i książek.

Bronisław Grabowski 1841—1900, napisał Henryk Ułaszyn. Kraków 1901.

Niedawno temu, u samego schyłku XIX. stulecia, zgasł człowiek, którego sława ani w setnej części nie dorównała rozmiarami swymi jego wielkoduszności i zakresowi pracy społecznej i umysłowej, jaką, bez myśli o rozgłosie, li tylko dla dobra drugich, uprawiał. Był nim Bronisław Grabowski, którego żywot i działalność streszcza niewielka broszurka p. Ułaszyna, leżąca właśnie przed nami. Autor, kładąc w swojem dziełku główny nacisk na charakterystykę działalności autorskiej ś. p. Grabowskiego, pobieżnie tylko traktuje same biograficzne daty jego, poświęconego pracy dla narodu, żywota.

Będąc z zawodu filologiem-slawistą, rozpoczął Grabowski karjerę autorską od pisania historycznych dramatów. W nich zamierzał przedstawić na scenie przeszłość Słowiańszczyzny, a szczególnie walki Słowian z Niemcami i Turkami. Choć zaś pod względem czysto artystycznym, nie stanął tak wysoko, jak tego wymagał ogrom założenia w myśli i temacie, przecież podziwu godnym jest zarówno ten rozmiar, jak i szlachetne intencje autora.

To samo da się powiedzieć i o jego utworach poetyckich i powieściowych. Są to rzeczy wprawdzie o poprawnej tylko formie, ale o dużem poetyckiem poczuciu i nadzwyczajnie podniosłych aspiracjach narodowo-społecznych, tak samo, jak i jego utwory beletrystyczne.

Główną jednak zasługą ś. p. Grabowskiego jest, przebijająca już w tych utworach, szczególnie historycznych, chęć zapoznania ogółu polskiego z historją i życiem umysłowem plemion słowiańskich. Z niej to, przy poparciu kolosalnej erudycji na tym punkcie, powstał piedestał pomnika, jaki sobie ś. p. Grabowski po wszystkie czasy postawił, dając inicjatywę i podstawy do komunikacji umysłowego życia Polaków z innymi Słowianami, a szczególniej z Czechami. Osobistą interwencją i całym szeregiem oryginalnych prac i tłumaczeń z historji i literatury plemion pobratymczych, uprzystępnił ś. p. Grabowski Polakom duchowe ich zbliżenie się do Słowian zachodnich i południowych. Wyliczyć wszystkiego nie podobna. Rozsiewał on mnóstwo prac swoich po najrozmaitszych czasopismach i to nietylko polskich, ale i innych słowiańskich, szczególnie czeskich, podobnie jak to czynił Jelinek w pismach polskich.

To też doprawdy aż zdziwienie ogarnia, gdy się z broszurki p. Ułaszyna dowiaduje, jak ś. p. Grabowskiemu czasu i energji starczyło na to wszystko, z dodaniem jeszcze do tego, sumiennego wypełniania żmudnych obowiązków pedagoga. Tem uwielbieniem nasycona jest też broszura p. Ułaszyna, która z niezwykłą zręcznością, na niewielu stosunkowo stronicach, roztacza przed czytelnikiem wspaniały w swoim ogromie obraz działalności zasłużonego człowieka.

Kłosy, pismo poświęcone sprawom narodowym, społecznym, naukowym, literackim i artystycznym, zacznie od 1. kwietnia b. r. wychodzić pod redakcją p. Kazimierza Bartoszewicza w Krakowie. Redakcja zapowiada w prospekcie, że będzie to przegląd pism (w rodzaju „Revue des Revues“ lub „Reviev of Revievs“), w którym zawarte będzie bez politycznej stronniczości wszystko, co pojawia się najświetniejszego w publicystyce polskiej i zagranicznej. Oprócz tego, zapowiada redakcja cały szereg utworów oryginalnych z dziedziny nauki i sztuki, pióra najznakomitszych, współczesnych pisarzy, oraz sprawozdania z współczesnego ruchu naukowego i artystycznego. Kosztować będą „Kłosy“ rocznie 8 koron, na prowincji z przesyłką 9 koron za 24 zeszytów po 32 do 36 stronic druku, w formacie dużej ćwiartki.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów ul. Kopernika 5.